

Ku większemu jeszcze zakłopotaniu Andrzeja, w sianach jechały panie Radziejewskie z onym miejskim fircykiem.

Panna Janka uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, mama parę słów do niego powiedziała, ów pan coś mu tłumaczył i przypominał, ale on nic nie słyszał, jeszcze mu krew grąda w żyłach.

Bez końca tylko się kłaniał i gościnnie zapraszał przybywających.

— Prosimy... prosimy...

A goście napływali bez końca, jak fala za falą. Muzyka znów grała.

Starzy siadali do stołów, młodzież ani chwili czekać nie chciała, rwała się do tańca.

Więc zagrzmiała fanfara... i wnet różne tony wesoło się rozlegały a w ich takt ogniste sunęły pary. Tańczono z zapalem, aż szyby w oknach dzwięczały.

Andrzejowi już dobrze się dymilo z czupryny, gdy zaczęto mazura. Znalazłszy po długich poszukiwaniach zaproszoną damę, podał jej ramię i poprowadził w taniec.

A tańczył z fantazją, w prawej ręce trzymając rączkę pań Maryi, lewą zaś wsparł na biodrze.

Wpadł w doskonały humor, co chwila coś tak krotocwilnego rzucił, że piękna wdówka zanosila się od śmiechu.

Aż wreszcie, zmęczony dziarskim mazurem, wy dostał się z koła tańczących, a wnet chwycili go dawni znajomi i znów przy swym posadzili stole.

Wnet w jego rękach znalazła się pełna szklanka, a w uszach zaczęło mu szumieć, w oczach lawirował cały tłum gości, jeszcze raz ujrzał, jak przez mgłę, błdziuchną twarzyczkę Janki i nic już nie było w stanie wyrwać go z objęć Morfeusza.

Naokoło zaś, wśród dusznej atmosfery, przesyconej dymem, wrzał zacięty spór.

— Kto winien? kto winien pyta waszeć — krzyczał wstając z ławy czerwony na twarzy szlachcic — otóż powiem, wyście winni, boście się na obcych oglądali, podatki płacić nie chcieli, a tu szablisko trzeba było w garść chwycić i pracować, co by było wlaźło!... a mielibyśmy dziś naszą Rzeczpospolitą, jak dawniej bywało.

Z przeciwnego końca stołu w tej chwili porwał się jakiś chudy brunet i wyciągnawszy lewą rękę z zaciśniętą dłońią wołał:

— Otóż ja temu kłam zadaję! Wyście winni, żeście pędzili na oślep, boście nie pytali, co na te nasze nowinki powiedzą sąsiedzi!

— Prac trza było i wnet prac będziemy — przerwał mu znów gwałtownie sąsiad Andrzej.

Powstał wielki hałas, kilka szklanek spadło na ziemię, powiększając zgłęb. W drzwiach zaś otwartych w austriackim urzędowym fraku stał mały człowieczek i ciekawie strzygł uszami, jednego słowa nie stracił. Z oczu szły mu złowrogie błyski, a z twarzy nie schodził zjadliwy uśmiech. Teraz dyskretnie cofnął się z widowni.

Hałas zaczynał cichnąć. Ktoś wylał na ławę i, starając się przekrzyknąć gadających, wołał:

— Przestańcie waszmość panowie, przestańcie! Dostyc to życie twarde i ciężkie, abyśmy go mieli jeszcze bardziej zohydzać — powiedzmy sobie za naszymi przodkami „jakoś to będzie“! a teraz wypijmy zdrowie za pomyślność młodej pary.

— Niech żyją! — huknęło i cały tłum w największej zgodzie ruszył do sali tańców. Tam właśnie białego mazura tańczono.

## V.

— Jedrus — krzyknął wpadając jak wichur do pokoju Andrzeja, jego kolega Staś Sarnicki — są już tutaj — już cały pułk podobno pod Lwowem obozuje — recytował bez przerwy z zapalem.

— Są, kto? co? mów wolniej i jaśniej, bo nic nie rozumiem.

— Jakto kto? co? — unosił się przybyły — nasi są tuż, lada chwila wejdą do miasta, cały pułk generała Roźnieckiego wali prosto do Lwowa. Ostatni Austriacy czmychnęli wczoraj wieczór. W mieście ruch! mówię ci, jak w ulu... ludzie na Gródeckie sypią, że strach, jak jedno wielkie mrowie. Magistrat zaraz pono zbiera się w ratuszu, aby urządzić, jak przyjąć przybywających.

Andrzej chwycił czapkę i w chwilę potem obaj młodzieńcy szli spiesźnie ku rynkowi.

Na ulicach rzeczywiście panował ruch niezwykły. Na wszystkich twarzach znać było ożywienie. Ludzie stawali gromadkami i ogromnie żywo o czymś rozprawiali. Co krok można było słyszeć: Napoleon, Warszawa, książę Józef...

Na rynku stały już tłumy ludzi. Szczególnie u wejścia do ratusza panował tłok.

Tam zebrali się co przedniejsi obywatele, aby się zastanowić nad obecną sytuacją.

W tej chwili do Andrzeja przystąpił inny kolega z liceum i z wielką radością podzielił się z nim wieścią, że ma być z młodzieży zorganizowana milicya.

— Co mówisz! — ucieszył się Andrzej — zaraz się zgłaszam, ale do kogo?

— Podobno zajmuje się tem Potocki Adam.

— Idziemy — zawołał Staś Sarnicki.

Po drodze coraz więcej studentów liceum się przyłączało, a wszyscy z zapalem witali myśl utworzenia legii.

Zgłaszający się zostali zapisani w rejestr i otrzymali białe kokardy.

Tej samej jeszcze nocy Andrzej z trzema towarzyszami, uzbrojony w szablisko i pistolet, pilnował porządku w przeznaczonych części miasta.

Wojsko polskie z taką niecierpliwością oczekiwane nie nadeszło.

Następny dzień miał być zato dniem uciechy i radości.

Koło czwartej popołudniu przybył w komplecie magistrat z muzyką, całe duchowieństwo, szlachta, mieszczanie, przybył też rabin lwowski z całym otoczeniem.

Wszyscy czekali niecierpliwie, rychło pokaże się pierwszy pluton...

Zaczął się ściemniać, gdy ukazali się pierwsi jeźdźcy. Tłum czekający zakotłował się i runął ku nim.

Zagrała kapela, odezwały się okrzyki, wiwaty.

Kapelusze latały w powietrzu; rzucali je nie tylko mężczyźni, lecz i panie dawały tem dowody swej radości.

Miasto zapłonęło illuminacją, w kościołachbito w dzwony.

Lwów wrzał do późnej nocy, nie ustając w watach.

Mijały Lwowianom szybko dni na ciągłych zabawach, wydawanych na cześć przybywających coraz to nowych oddziałów.

Andrzej rzadko teraz bywał w swym mieszkaniu. Cały dzień zajęty musztrami, nie miał nawet czasu dać znać rodzicom, co się z nim dzieje.

Pułk zaś Adama Potockiego coraz bardziej powiększał liczbę swych żołnierzy. Wielu z nich miało już nawet całkowite umundurowanie, ale wielu znówu za całe uzbrojenie używało gołej piki.

Do tych szczęśliwszych należał Andrzej.

Pięknie wyglądał w ułańskim mundurze!

— Duszę i serce bym waćpanu zaprzedała — rzekła mu raz piękna Zosia, córka mieszczańskiego pana Drzegoty, w którego domu Andrzej mieszkał.

Ale on o innej myślał, o innej marzył.

Ej, gdy dostanę pierwsze szlify, to się sypnę do mej Janki drogiej, do nóżek jej upadnę i ślicznie poproszę; oddaj mi siebie gwiazdeczko ma na życie całe i świeć mi, świeć bo ciemno mi bez ciebie na tym świecie.

Mijały dni kwietnia.

Wojsko polskie, nie mając we Lwowie silniejszego oparcia przeciwko nieprzyjacielskim zakusom, musiało ustąpić.

Siedemnastego kwietnia wczesnym rankiem opuścił pułk jedenasty mury Lwowa. Niejedno okno się otwierało, a w nich tu i owdzie zabielały kaptaniczki niewieście. Ostatnie smutne spojrzenia się krzyżowały, ostatnie całusy skrycie wędrowały, rączkami niewieściami ochotnikom przesłane.

Andrzej, smutny ze zwieszoną głową, jechał w pierwszym szeregu, żal i zwątpienie gryzły mu serce.

Wtem z jednego z okien piętrowego domu wychyliła się piękna jasna główka niewieścia.

Staszek Sarnicki trącił Andrzeja lekko łokciem i szepnął:

— Patrzno Janka z Suchodol skądys tu się wzięła.

Andrzej spojrzał ku górze i mało nie krzyknął z radości.

A ona z smutnym uśmiechem na ustach rzuciła mu pod końskie kopyta kwiat czerwonej róży.

Andrzej ręką całusa posłał ukochanej i szepnął:

— Wróć!

A ona widać zrozumiała i główką mu swą skinęła.

## VI.

Straszna była zima. Ludzie osiwiali latami, nie pamiętali od dzieciństwa tak wielkich mrozów i zawań.

Drzemirów w małą rzucony kotlinkę po dachy prawie tonął w zaspach. Nad gromadą niskich chat wieśniaczych, rozrzuconych po całej kotlinie, górował dwór położeniem i okazałością.

Do samego dziedzińca wiodła aleja topolowa. Dwór był stary, parterowy, typowe siedlisko zamożnej szlachty.

Śnieg na chwilę przestał padać, zadymka ustała. Na dziedzińcu zaczęto śnieg zgarniać i układać w kopy, aby jako tako można się było dostać do dworskich budynków. Na ganku stał sam dziedzic, wysoki, tegi mężczyzna, lat około czterdziestu i pracą kierował.

Przez uchylone drzwi sieni odezwały się i wy dostały na pole przyciszone dźwięki klawikordu.

Pan dziedzic niespokojnie się poruszył i mruknął do siebie.

— Znowu się zaczynają wieczorne godzinki.

Czapkę barankową mocniej naunął na czoło, kurtkę futrzaną pozapinał na piersiach na pętle i kazawszy sobie podać konia, pojechał.

Tak działo się codziennie od szeregu tygodni.

Niewypowiedziana miłość do Andrzeja, naturalną rzeczą kolejną sprowadziła oziębłość Janiny, w jej stosunku do męża. Jedyną osłodą jej smutnych, szarych dni był klawikord. Kochała ten czarodziejski instrument, co jej śpiewał to, co chciała, o miłości i kochaniu, zawsze smutnie, rzewnie, cicho.

Z jego strun szła pieśń precudna, co to koi, lecz rany i wciąż poi znów nadzieją; co przynosi chwile szczęścia, zapomnienia i radości.

Z precudnych marzeń przy klawikordzie zbudziło ją nagle ciche pukanie...

Bezwiednie wstała i cała drżąca wyszła do sieni.

W progu stała jakaś postać zgarbiona, w łachmanach do upiora raczej, niż do człowieka podobna.

Janina przerażona cofnęła się w sieni z okrzykiem przestachu. Złowróżbne przecucie już jej odkryło tajemnicę, na piersiach nędzarza błysnął krzyż zasługi.

Janina zrozumiała. Piers jej, poruszana wzruszeniem, poczęła gwałtownie falować.

Przybyłym stary Grzegorz się zajął.

Chciał mu zmienić ubranie, lecz ten nie pozwolił i pozostał w swych krwawo prześiakietych łachmanach.

Janina kazała go przyprowadzić do salonu, przy ogniu posadziła i siadłszy naprzeciw przy klawikordzie, rzekła, prosząc:

— Mów.

— Służyłem przy jedenastym pułku ułanów pułkownika Adama Potockiego.

— Ach!... uniosła się, błędąc... mów! mów! szepnęła.

— Wyszliśmy ze Lwowa...

— Tak! tak! szeptała — mów... prędzej... co dalej... co teraz się z wami działo?

Weteran długo milczał.

— Teraz?... strasznie źle — ciężko westchnawszy rzekł z wysiłkiem stary żołnierz — pod Mirem biliśmy się jak lwy, trzystu żołnierzy legło, dwóch oficerów zabili, dwóch rannych, a porucznik Drohojowski, w którego służyłem szwadronie, do niewoli się dostał.

— Boże, Boże! — jęknęła słuchająca... i staniając się, wsparła się na klawiszach, które jęknęły boleśnie. A szybami saloniku trząsał wicher złowrogo.

— Stamtąd szliśmy pod Bobrujsk, a mym porucznikiem został Andrzej Rzeżycki...

Nie podnosiła głowy, nie otwierała pół-przymkniętych oczu... twarz biała tylko lekko się zarumieniała... sił jej brakowało.

— Tam nasz pułk zostawał pod komendą generała cesarskiego Nansonty... Straszne to były dni... spaliśmy na gołej ziemi przeszło cztery tygodnie, na słońcu, na chłodzie, bez dachu nad głową... jeść co nie było, suchary i gorzka herbata.

— Straszne... — szepnęły zbielejące wargi Janiny...

— Przyszła bitwa pod Możajskiem — nasz pułk znowu strasznie ucierpiał...

— Nasz pułkownik — ciągnął dalej z wysiłkiem — ranny odłamkiem kuli armatniej poszedł do lazaretu, zginęło kilkuset wiary... i kilku oficerów... Moj porucznik, panie świeć nad jego duszą legł, przeszyty sześcioma bagnietami...

— Jezu... — jakiś jęk się dobył... z jej ust.

— Gdy się nad nim pochylał, z piersi zerwał legię honorową i podając mi, zaczął mówić... „To dla niej... powiedz“. Nic nadto nie wyrzekł i skonał...

— To dla mnie... — wyszeptała i... z rąk zdziwionemu order wzięwszy do ust zbielełych przycisnęła...

Na polu wichry szalały. W saloniku było prawie ciemno, w kominku dogasało. Znużony weteran zasnął... przy dźwiękach klawikordu.

A dźwięki szły dziwnie smutne, szlachetne, kojące...

Swit wstawał.